

Nasz rejs

Brdą i Wisłą do Elbląga

OMEGAMI RZEKAMI



Karolina Skowrońska

Ten szlak żeglarze rzadko przecierają: Brdą do Wisły i dalej na trasę Kanału Elbląskiego. A warto go przebyć. Czekają tu żeglarskie wyzwania, piękne widoki, tu i ówdzie dziewicza jeszcze przyroda...

Jesteśmy Szczepem 58 Łódzkiej Wodnej Drużyny Harcerskiej zrzeszającym zarówno młodzież szkolną, jak i studentów, ba nawet ludzi, którzy założyli własne rodziny. Pływamy na ponad dwudziestoletnich, wysłużonych Omeгах. Każda z nich ma swoje tajemnice i sekrety, o których mogą wiedzieć tylko nieliczni. Jest ich pięć: *BARNEY, BEJTY, DINO, WILMA* i *PHILADELPHIA*.

W zeszłym roku postanowiliśmy popłynąć w rejs na Brdę, rzekę typową dla kajakarzy i ich smukłych kajaków.

Nasz długi, trzytygodniowy rejs okazał się sprawdzianem, jakiego nikt z nas jeszcze nie miał okazji przejść. Każdy kolejny dzień był dla nas wielką niespodzianką i nigdy nie mogliśmy być pewni, co nam przyniesie. Brda jest rzeką, której nie można zaliczyć do najszerszych i najmniej zawiłych. Na odcinku przed Bydgoszczą dodatkowo nie jest uregulowana. W przeważającej części pływaliliśmy po terenie zalesionym, a nurt był na tyle wartki, że pagaje przydawały się przede wszystkim podczas zakręcania, kiedy musieliśmy walczyć z siłą rzeki i jej prą-



du spychającego nas na niepożądanym brzeg. Dodatkowo położone maszty znacznie utrudniały nam żeglugę, zahaczając co chwila o zwalone drzewa i ich gałęzie. W 1998 roku Brda miała poziom niebezpiecznie niski, przynajmniej dla nas i naszych łódek. Potężne głazy znajdowały się tuż pod taflą wody.

Żeglarstwo z... położonym masztem

Już pierwszy dzień rejsu (13 lipca) okazał się egzaminem naszej cierpliwości. Pomimo dobrej pogody



Zmagania z niepokorną Brdą

dy i dopisujących nam humorów, zmęczenie wywołane kilkakrotnym kładzeniem i stawianiem masztów poddało nam pomysł, aby popłynąć na spinakerach. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że nasze maszty były położone, a za spinakerbomy mieliśmy ramiona naszych mężczyzn. Każda łódka wydobyla z czeluści forpiku spinaker i z pomocą dzielnych sterników i męskiej części załogi rozłożyła żagiel. Powiał wiatr... Nasz patent sprawdził się rewelacyjnie, dzięki czemu pruliśmy jak mało kto.

Pierwsza „przenoska”

Dwa dni później (15 lipca) przetestowaliśmy nasze mięśnie i zdolności mediacyjne, gdyż naszym oczom ukazał się jaz w Mylofie. Rozsztautowaliśmy nasze okręty. Na pierwszy ogień poszła *PHILADELPHIA*. Przyszło nam nieść przez około 300 metrów ważącą kilkaset kilogramów Omegę. Męczyliśmy się z nią prawie godzinę, ale dotarliśmy szczęśliwie na drugą stronę jazu. Po tym heroicznym wyczynie panie przygotowały kanapki, a nasi dzielni sternicy poszli załatwić traktor. Wraz z nim przybyło dwóch panów rozweselonych napojem „wino marki wino”. W zawrotnym tempie zabrali się do pracy, wrzucając na przyczepę wszystko, co mieli pod ręką, łącznie z łódkami. Wkrótce przybieg-

ła kobieta podająca się za właścicielkę placu, na którym stał traktor z naszymi łódkami, i oznajmiła, że nas nie puści. Traktorzyści wdali się z nią w awanturę, sternicy próbowali załagodzić sytuację... Zdolności mediacyjne wzięły górę i udało się nam przewieźć wszystkie łódki. Małego remontu wymagało *DINO*. Dlatego tego dnia już nie wypłynęliśmy. Na kolację skosztowaliśmy pstrągi pieczone na ruszcie (przypominam, że wszystko to odbywało się w warunkach polowych) i wreszcie mogliśmy udać się na zasłużony odpoczynek. Zmęczeni położyliśmy się spać, nieświadomi ogromu przygód, jakie na nas czekały...

Brda niespodzianek pełna

16 lipca okazał się pierwszym dniem starcia z niepokorną Brdą. Zaczęły się niespodzianki: zwalone drzewa, kamory wystające z wody albo co gorsze ukryte tuż pod jej taflą, nisko opadające konary drzew i rewelacja dnia - przeprawa pod mostem kolejowym. W tym miejscu kajaki nie miały większych problemów, ale nasze Omegi zostały wystawione na pierwszą próbę. Poziom wody tego roku był bardzo niski – „czytając” wodę ustaliliśmy bezpieczniejszą trasę przeprawy. W obawie przed uszkodzeniem łódek sternicy podjęli decyzję o prze-



Pochylnia na Kanału Elbląskim



Taki sposób przemieszczania się to dodatkowa atrakcja

prowadzeniu każdej łódki pod mostem na linach, co wydawało się najbezpieczniejszym rozwiązaniem. Udało się!

Rozpadał się intensywny deszcz. Rozbiliśmy się na pobliskiej łące. Odnaleźliśmy jeszcze suche rzeczy, zjedliśmy szybką kolację i czym prędzej położyliśmy się spać.

Mobilizacja przed Kamieniem Jagiełły

Kolejny rano (17 lipca) przywitał nas słońcem i odwiedzinami naszych przyjaciół z łodzi, którzy w szczerych chęciach przywieźli nam prototyp składanego wózka do przenoszenia łódek na kolejnych przeszkodach. Zaczęliśmy mieć nadzieję na zmniejszenie naszych przyszłych wysiłków fizycznych.

Dziś mieliśmy okazję zobaczyć akwedukt. Wycieczka okazała się atrakcją dnia. Wszyscy byli tak wy-

čerpani, że z radością dobiliśmy do campingu. Zazwyczaj gotujemy na ognisku, niestety camping w Woziwodzie pomimo 4 miejsc-ogniskowych wymaga zakupu 1 m³ drewna od właścicieli campingu (nie dopuszczają możliwości zebrania i przyniesienia własnego chrustu).

Po uroczej nocy spędzonej na polu biwakowym, przy śpiewie pijanych kajakarzy, wypłynęliśmy w dalszą drogę. Po straszliwej przeprawie przez zwałowisko pni i po ominięciu kilku głazów dotarliśmy do Płaskoszu. Z dreszczem emocji oczekiwaliśmy spotkania z rozstawionym Kamieniem Jagiełły. Dlaczego rozstawionym? Otóż wielokrotnie opowiadali nam mijający nas kajakarze, że prawdopodobnie nie uda nam się obok niego przepłynąć i będziemy zmuszeni przenosić łódki brzegiem. Spowity tajemnicą Kamień Jagiełły okazał się „kamy-



Zbliżamy się do Wenecji. Jezioro Ruda Woda

kiem", jakich wiele spotkaliśmy na naszej trasie. Na noc zatrzymaliśmy się za Rudzkim Mostem na łące.

Rączo na pagajach

19 lipca. Kolejny dzień... na pagajach. Jediną różnicą było to, że dziś wptynęliśmy do Rezerwatu Piekiełko. Wiele razy każde z nas mówiło o swoich obawach przed Piekiełkiem, które rzekomo zmieniało Brdę w rwącą górską rzekę. Przeżywaliśmy je już wielokrotnie, a właściwie gdyby nie tabliczka z napisem „Uroczysko Piekiełko”, nawet byśmy go nie zauważyli. Może faktycznie ten odcinek Brdy ma rwący nurt dla kajaków, ale niestety nasze Omegi nie odczuły żadnej różnicy. Po głośnym wyrażeniu naszego rozczarowania popłynęliśmy dalej. Dzielnie dopagajowaliśmy do pola biwakowego, na którym przygotowaliśmy obiad. Nocowaliśmy na wyspie.

Nareszcie na żaglach!!!

20 lipca. Wyptynęliśmy na żaglach! Słońce grało całą mocą tak,

ze wieczorem wyglądaliśmy jak raki, a w nocy słychać było tylko cichutkie pojękiwania. Przed miejscem na nocleg uzupełniliśmy zapasy żywności. Dobiłszy do obozu harcerzy z Torunia i tam zostaliśmy na noc.

Wózek odmawia współpracy

21 lipca. Upał zaczął się już od samego rana - już drugi dzień jesteśmy pływaką patelnią. Dzień wyglądał jednostajnie: upał, wiatr, upał, flauta, upał, wiatr, most. Chwila postoju w Samociązku. To tu czekała na nas kolejna wielka atrakcja - hydroelektrownia, czyli obowiązkowe przenoszenie łódek. Sternicy podjęli jedną z niewielu słusznych decyzji (hi, hi!!!) schowania się w cień. Tak dotrwaliśmy do godziny dwudziestej. Od tej chwili zaczęła się ciężka praca. Rozsztautowaliśmy wszystkie łódki i na pierwszy ogień poszła WILMA. Wreszcie mieliśmy okazję wypróbować nasz patent - wózek. Niestety z powodu ukształtowania terenu nie zdał on egzaminu. Po

wyniesieniu pozostałych łódek na brzeg zjedliśmy kolację i... zakończyliśmy dzień.

Starem za Bydgoszcz

22 lipca. Komendant rejsu udał się wraz z towarzystwem na poszukiwanie Stara. Po krótkich pertraktacjach jego właściciel zgodził się przewieźć nasze łódki (oczywiście za drobną opłatą) 15 kilometrów dalej, w okolice Bydgoszczy. Ta operacja zajęła nam cały dzień. Niemałym szokiem okazało się ponowne spotkanie z rzeką, która dotychczas była kryształicznie czysta i przejrzysta. Teraz Brda wyglądała jak kanał ściekowy i wysypisko śmieci. Można tu było skompletować cały sprzęt gospodarstwa domowego: pralki, telewizory, lodówki itp. itd. Zastraszające, jak niski jest poziom wychowania proekologicznego Polaków. Nocujemy w parku, w Bydgoszczy. Nocne warty dostarczyły wszystkim wielu atrakcji: Andrzej z Łukaszem wymodlili skręt podejrzanego grupy chłopaków na most, dziewczyny wylegitymowała policja, a po godzinie piątej jednostajnie padało.



Dzielni uczestnicy rejsu w komplecie. HOW Winiec

Spotkanie z Wisłą

23 lipca. Służujemy się. Około południa dotarliśmy do przystani, podzieliliśmy się wartami i nastąpił czas wolny. Większość z nas okupowała prysznic z ciepłą wodą, która od kilku dni była marzeniem każdego z nas. Później odbyliśmy spacer po mieście i wyruszyliśmy w dalszą drogę. A że silnik nie chciał z nami współpracować, więc musieliśmy pagajować. Nocujemy w Fordonie. Niestety pierwszy wieczór na Wiśle nie obył się bez przykrych wydarzeń. Z pobliskiego mostu jakiś sadysta wyrzucił psa wprost do rwącej Wisły.

Dzień kózki

24 lipca. Rano Mumin próbował naprawić silnik. Pojawiła się mała biała kózka, która zaczęła zjadać namioty. Po chwili przerzuciła się na coś smaczniejszego: wypita kawę Mumina, herbatę Marcina i grzybówką z kluskami Andrzeja, a następnie

próbowała zjeść naszego Wietieroka. Wkrótce pojawił się właściciel i zabrał niesforne zwierzę.

Wyłynęliśmy. Pierwszy dzień żeglowania po Wiśle. Wiało zacnie. Każda łódka się zarefowała i tak płynęliśmy. Dotarliśmy do Chełmna.

Finansowe gusa

25 lipca. Wieje trochę słabiej. Płyniemy na wiatr za pieniądze. Wszyscy wrzucają drobniaki do skrzynki mieczowej (zgodnie z żeglarskim przesądem), a niektórzy przez pomyłkę nawet grubszy bilon. I tym sposobem docieramy do Grudziądza, gdzie wpadamy w ręce miejscowej reporterki. Udzielamy pierwszego wywiadu (o nas i naszym rejsowaniu) i wieczorem z napięciem czekamy na transmisję. W mieście czas spędziliśmy tak jak w każdym innym: jemy, wydajemy pieniądze i podziwiamy widoki. Nocujemy na przeciwległym brzegu.

Następny dzień zaczyna się od odwiedzin kolejnych znajomych

z Łodzi. Na miłej pogawędce upłynął nam czas aż do południa, kiedy to postanowiliśmy wypłynąć. Około 15.00 dobiliśmy do Nowego Miasta i uzupełniliśmy zapasy wody. Pod wieczór docieramy do Gniewu. Większość obecnych na zeszłorocznym rejsie (przypominam, że w 1997 była powódź) wspominała, jak daleko sięgała woda. Na kolację jemy przesolony rosół i idziemy na wieczorny spacer na zamek.

Na Nogacie

27 lipca. Za dnia postanawiamy odbyć ponowną wizytę na zamku. Poczta - telefon do stęsknionych rodziców, małe zakupy i ruszamy w dalszą drogę. Już po godzinnej żegludze widać było wejście na Nogat. Przez kilka sekund, kiedy próbowaliśmy wpłynąć na żaglach, walcząc z zawirowaniami rzeki, przypominała nam się Brda i jej rwący nurt. Po prześluzowaniu zatrzymujemy się na nocleg. Wieczorne-og-

nisko, nieśmiało próby śpiewania i idziemy spać.

28 lipca. Wreszcie udało się nam odpalić silnik. W deszczowej pogodzie docieramy do Malborka. Cali przemoknięci i zmarznięci chciwie rzucamy się na dostępny na przystani prysznic z ciepłą wodą. Rozbiliśmy się i przestało padać. W trochę lepszych humorach rozeszliśmy się po mieście, by w większości spotkać się w doskonale nam znanej zielonej pizzerii. Wieczorem postanawiamy udać się na zamek, żeby zobaczyć spektakl „Światło i Dźwięk”. Na przystań wracamy pod ogromnym wrażeniem zamkowych świateł i laserów. Następnego dnia spędziliśmy w Malborku, rozkoszując się błogim luzem.

Elbląg na horyzoncie

30 lipca. Dziś celem naszej podróży jest Elbląg. Niestety już po pół godzinie nasz ukochany silnik odmawia posłuszeństwa. Wizja pagajowania przeraża każdego z nas, ale oto pojawia się *ZIMORODEK*- mała łódź motorowa, której kapitan był na tyle

uprzejmy, że doholował nas do Harcerskiego Ośrodka Wodnego „Bryza” w Elblągu. Tam zacumowaliśmy.

Nazajutrz pogoda wyklarowała się na typowo letnią. Silnik niestety nadal odmawia nam posłuszeństwa. Z bożą i ludzką pomocą udaje się nam dotrzeć do elbląskiej starówki. Wszyscy zdecydowanie ruszają w miasto, żeby wydać trochę pieniędzy, kupić małe potrzebne rzeczy (jak na przykład indyjskie flety, które przez dalszą część rejsu będą zastrzykiwały wszystkim życie), po czym wypływamy. Nocujemy przed pierwszą pochylnią.

Z pochylni do finału

1 sierpnia. Dziś czeka nas przeprawa przez jedyne w Europie pochylnie. Niebywała atrakcja zarówno dla turystów polskich, jak i zagranicznych. Okazało się, że nie tylko pochylnie były dla nich atrakcyjne. Równie atrakcyjni okazaliśmy się my. Mijające nas pierwsze żygadło (śródlądowy stateczek pasażerski, kursujący Kanałem Elbląskim, z wielką, wymalowaną na burcie literą „Ż”) i pierwsze zdjęcia.

Kolejne żygadło i kolejne zdjęcia, i tak kilka razy. Już na pierwszej pochylni przytrafił nam się mały wypadek. Odbojnica *WILMY* i słonki *DINO* odrobinię ucierpiały- Na szczęście na pozostałych czterech pochylniach wszystkie łódki dzielnie się trzymały. Z poświęceniem i dużą cierpliwością niektórych z nas dotarliśmy do polskiej Wenecji. Tu, dzięki gościnie łódzkich harcerzy, nocujemy. Jeszcze tylko kominek poświęcony Powstaniu Warszawskiemu.

2 sierpnia. Niestety, noc nie okazała się spokojna. Ciszę przerywały radosne krzyki kilku dziewcząt próbujących poderwać facetów za pomocą CB radia. Wypłynęliśmy po szybkim śniadaniu. I... zaczęło padać. W deszczu dobijamy do swojego ośrodka w Wińcu (piszę swojego, gdyż jest on bazą wakacyjną naszego hufca).

I tak niestety kończy się rejs: trzy tygodnie przygody, atrakcji czekających na nas dosłownie za każdym zakrętem. To czas, który na pewno będziemy miło wspominać.

Fol. Karolina Skowrońska
Rys. Marek Srauchold

Trasa rejsu Szczepu 58 Łódzkiej Wodnej Drużyny Harcerskiej

